

„Desantowiec” (39)

Nie widziałem siebie na wsi. Praca na roli mnie nie interesowała. Postanowiłem spróbować swoich sił w mieście. Zatrudniłem się na magazynach RSW Książka Prasa Ruch w Krakowie. Magazyny te znajdowały się na Alei Pokoju, więc nie daleko od Salwatora, gdzie zatrzymywał się mój autobus MPK linii 239. Praca była ciężka, bo polegała na rozładunku i załadunku samochodów dostawczych obsługujących wszystkie kioski RUCH w południowej Polsce. Byłem jednym z najmłodszych pracowników. Nie przeszkadzało mi to wcale, bo miałem swój cel. Chciałem się usamodzielnic, mieć swoje własne pieniądze i nie być na niczym utrzymaniu. Atmosfera w domu po tym, jak oznajmiłem, że ze w związku z Grażyną nic nie będzie i że chcę zacząć swoje własne życie, stała się nie do zniesienia. Wypominano mi moje poprzednie błędy i niepowodzenia. Sugerowano nawet małżeństwo z rozsądku, gdy nie ma w tym związku miłości. Ważne, żeby się ustawić na przyszłość. Czasami mam wrażenie, że to moi rodzice chcieli się ustawić moim kosztem, gdyż zawsze chcieli być postrzegani jako gospodarze. Mnie na tym nie zależało. Marzyło mi się spokojne życie w mieście. Do tego dążyłem, ale jak na złość wszystkie moje dotychczasowe znajomości okazywały się być pomyłką. Nie szukałem nowych, a środowisko, w którym przyszło mi pracować, nie wskazywało na to, że coś w tym temacie się zmieni. Pracowali tam ludzie w średnim wieku, albo tacy, co mieli już własne rodziny. Skupiałem się na pracy. Pierwszy miesiąc minął mi spokojnie, ale drugi zaczął się problemami.

Do magazynów wrócił były pracownik Krzysztof, którego niedawno powołano do wojska, ale ze względu na zdiagnozowaną chorobę neurologiczną odesłano do domu. Był w armii trzy miesiące, do przysięgi. Wrócił jednak, jako „desantowiec”, jak sam o sobie mówił. Komandos. Czerwony берет. Swoje rzekome doświadczenie wyniesione z wojska zaczął ćwiczyć na innych pracownikach, w tym również na mnie. Na początku nie reagowałem i pozwalałem się obijać. Raz mnie kopnął w brzuch, innym razem uderzył ręką w tył głowy, że aż mi w oczach pociemniało. Jeszcze innym tak mnie, przyduszał, że straciłem oddech. Któregoś dnia jednak przesadził i spotkała go kara.

Wokół magazynów była betonowa rampa, pod którą podjeżdżały samochody dostawcze w celach rozładunku i załadunku towarów. Krzysztof podbiegł do mnie od tyłu i mocno zacisnął swoje ręce na moich ramionach. Starał się mnie przewrócić, a kiedy mu się to nie udało, przeniósł mnie na skraj rampy, aby mnie z niej zrzucić. Wystraszyłem się. Dotarło do mnie, że może zrobić mi krzywdę, a nawet mnie okaleczyć na stałe. Zaparłem się nogami o burtę samochodu dostawczego i z całej siły odepchnąłem. Krzysztof nadal trzymał mnie w potężnym uścisku. Był ode mnie nie tylko starszy, ale również wyższy i silniejszy. Nie mogłem się uwolnić. Nikt mi nie pomógł, chociaż całą sytuację obserwowały panie magazynierki. Po chwili Krzysztof szarpnął mną i rzucił kolanami na betonową rampę. Zabolało. Poderwałem się z tej rampy i próbowałem kopnąć go w brzuch, ale nie byłem na tyle wysportowany. Sięgnąłem zaledwie kolana. Usłyszałem przeraźliwy krzyk Krzysztofa i zobaczyłem, że jego stopa się wykrzywiła. Uszkodziłem mu kolano. W wyniku uderzenia doszło do zerwania więzadła krzyżowego i uszkodzenia łąkotki.

Kierownictwo bezzwłocznie rozwiązało ze mną umowę o pracę na porozumieniu stron, a wypadek zgłoszono, jako nieszczęśliwy podczas wykonywania czynności służbowych. Rzekomo wprowadzając wózek z towarem na samochód, Krzysztof zatoczył się i wpadł pomiędzy rampę a samochód. O mnie nie wspomniano. Ja jednak rozwiązanie umowy o pracę odebrałem, jak karę. Wszyscy wiedzieli, że znęca się nad innymi pracownikami i nikomu to nie przeszkadzało. Kiedy jednak ktoś w obronie własnej doko-

pał Krzysiovi, to go wywalono z pracy. Niezła sprawiedliwość. Ja się tylko broniłem przed nieprzewidywalnymi skutkami jego zachowania i co mnie spotkało? Musiałem odejść.

Po kilkunastu latach sam doświadczyłem tego bólu, upadając z drabiny i teraz wiem, ile wtedy wycierpiał, ale wcale go nie żałuję. Sam się o to prosił.

„Igloopol” (40)

Wyrzucony z RSW Książka Praca Ruch desperacko zacząłem szukać pracy. Z rozmów, jakie prowadzili między sobą pracownicy magazynów, podsłuchałem, że niezłe pieniądze zarabiają ludzie na chłodniach w Igloopolu w Krakowie. Były dwie takie. Jedna na ulicy Dekerta, a druga na ulicy Pana Tadeusza. Poszedłem więc sprawdzić. Biura Igloopolu mieściły się przy ulicy Dekerta. Było dość daleko, bo z Salwatora trzeba było ponad pół godziny jechać tramwajem linii nr 6 do ulicy Wielickiej, a potem jeszcze spacerkiem jakieś piętnaście minut. Byłem jednak zdecydowany i nie zrażała mnie ta odległość. Ludzie przecież dojeżdżali do pracy ze znacznie większych odległości. Zatrudnili mnie, ale nie na chłodni, a w magazynie technicznym tej firmy. Pełna nazwa brzmiała Kombinat Rolno-Przemysłowy „Igloopol” w Krakowie.

Magazyn zaś znajdował się przy chłodniach na ulicy Pana Tadeusza. Kierownikiem tegoż magazynu był Kazimierz Karczycho, wspaniały człowiek. On mnie nauczył tworzenia kart magazynowych, nadawania kodów na kolejne dostawy, gdyż w tym okresie każda dostawa przychodziła z innym symbolem i inną ceną produktu. Prawdę powiedziawszy, zostało mi to do dzisiaj, bo do prowadzonej przeze mnie dokumentacji technicznej żadna z kontroli nie miała zastrzeżeń. Zawsze powtarzał – „Prawidłowo prowadzona dokumentacja, to podstawa. Może nie zgadzać się stan faktyczny, ale w papierach wszystko musi się zgadzać”. Zapamiętałem to. Starłem się, jak mogłem, żeby tej pracy nie stracić. Podobało mi się tam. Praca nie była ciężka, a czasami wręcz zabawna. Na magazynie technicznym mieliśmy wszystko. Szwarz, mydło i powidło. Od paliwa do spalinowych wózków widłowych po ubrania ocieplane dla pracowników chłodni. Praktyki na chłodniach miały trzecie klasy ze szkoły spożywczej, prawie w stu procentach złożone z dziewczyn. Często z magazynierem Józefem Malinowskim dla żartu wydawaliśmy dziewczynom waciaki o dwa trzy numery za duże, albo za małe. Bawiło nas, kiedy taka kruszynka zniknęła w kurtce o wiele za dużej, albo na siłę starała się wcisnąć na siebie rzecz o wiele za małą. Poznawałem układ magazynów, bo było ich kilka. W każdym coś innego. Z czasem polubiłem tę robotę i było mi żal, kiedy musiałem się znowu z nią żegnać. Tym razem niczego nie zmalowałem, nikt mnie z niej nie wyrzucał, ale po prostu musiałem. Otrzymałem powołanie do wojska. W październiku 1986 roku ukończyłem dziewiętnaście lat i stanąłem na komisję wojskową. Pomimo otwartego złamania z przemieszczeniem lewego podudzia z roku 1983 przydzielono mi kategorię wojskową A1. W pełni zdolny do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Dostałem przydział do Górnośląskiej Brygady Wojsk Ochrony Pogranicza w skrócie WOP. W jednostce w Raciborzu miałem się stawić w połowie stycznia 1987 roku. Trzeba więc było zrobić pożegnanie. Wiedziałem, że zarówno Kierownik, jak i magazynier nie stronią od alkoholu.

Kupiłem więc literkę. Ze względu na kontrole wchodzących i wychodzących pracowników chłodni dokładnie schowałem obie butelki Krakusa pomiędzy odzieżą ochronną, z której w tym dniu miałem się ro-

zliczyć. Udało się, przeszedłem przez bramę. Zaraz z rana zrobiliśmy herbatkę i do śniadania opróżniliśmy obie buteleczki. Był styczeń. Na zewnątrz padał śnieg. W nocy był mróz, więc założyłem do pracy swój nowy nabytek, sweter wełniany. Białe w czarne góralskie wzory. Podobał mi się. Chyba po raz pierwszy miałem go na sobie. Poszliśmy na śniadanie. Do stołówki mieliśmy jakieś dwieście metrów. Obaj panowie szli prosto, jakby niczego nie spożywali, rozmawiali ze sobą. Cóż, wyższa liga – pomyślałem. Staralem się, jak mogłem ukryć mój stan nietrzeźwości, ale było trudno. Droga zwężała się i zakręcała co jakiś czas, albo szła mocno pod górkę. Doszliśmy.

Na stołówce zgromadziło się wiele osób, w tym cała klasa dziewczyn ze szkoły spożywczej. Znaleźliśmy wolny stolik i usiedliśmy, bo kolejka do wydawki była zbyt duża. Dzisiaj na śniadanie, jako posiłek regeneracyjny był barszcz czerwony z jajkiem, a właściwie z dwoma jajkami. Przeludniło się. Staliśmy w kolejce. Świat się kręcił. „Ale wkoło jest wesoło” - pomyślałem, tyle że wesoło to dopiero miało być. Odebrałem swój talerz z czerwonym barszczem i slalomem pomiędzy stołami, jakimś cudem dotarłem do naszego stolika. Usiadłem. Wziąłem łyżkę i zacząłem siorpać barszcz. Nie smakował mi. Postanowiłem skosztować jajka, ale ta cholera ciągle uciekała mi spod łyżki, wędrując po talerzu. Nie mogłem go przekroić. Nie poddałem się jednak. Mocniej nacisnąłem łyżką na jajko, a ono wyskoczyło z talerza na sam środek stołówki. Barszcz zaś poplamiał mój nowy góralski sweterek. Nic to – pomyślałem i udałem się między stoły w poszukiwaniu jajka uciekiniera. Znalazłem go na podłodze pod jednym ze stołów zajmowanych przez praktykantki ze szkoły spożywczej. Mam cię. Wziąłem jajeczko ze sobą. Zdecydowanie chwiejnym krokiem dotarłem do naszego stolika. Wpakowałem jajko z powrotem do barszczu i bez żenady przytrzymując ręką, pokroiłem je. Następnie to samo zrobiłem z drugim i wypilem z talerza resztę barszczu. No, udało się.

W poplamionym sweterku, z uśmiechem na ustach wróciłem na magazyn techniczny. Potem jeszcze odwiedziłem kilka komórek organizacyjnych z obiegówką i do domu. Nie powiem, wszędzie, gdzie się pojawiałem, spotykałem się z uśmiechem i serdecznością. Nawet na bramie wjazdowej, kiedy machałem na pożegnanie wartownikom Straży Przemysłowej. To był ostatni dzień mojej pracy w Igłopolu. Kiedy odbyłem zasadniczą służbę wojskową i wróciłem do pracy, magazynu technicznego już nie było. Igłopol podzielił się i niektóre stanowiska zlikwidowano. Proponowali mi przejście do brygady elektryków, ale się nie zgodziłem. Kolejny raz musiałem szukać pracy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Janusz Rosek, dodano 04.10.2024 16:18

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.